

Płomyczek

Rok 27 Nr 19

Pismo dla młodszych dzieci

1. VI. 1949



Fot. T. Bukowski

Wio, wio... Marek wyrusza w świat

Cena 15 z

SIANOKOSY

Sianokosy, sianokosy!
Strąca kosa krople rosy,
a trawa się przed nią kłoni.
Uciekł świerszczyk, już nie dzwoni.

Przy tym krętym, przy strumieniu,
tam szmat łąki się zieleni.
Gwar na łące dziś od rana.
Oj, nie zbraknie we wsi siana!

Hej, skończymy dziś robotę,
zanim słońko zajdzie złote!
Zanim nocna spadnie rosa,
legnie trawa na pokosach.

Czesław Janczarski

LEGENDA O PTAKU, KTÓRY URATOWAŁ CZŁOWIEKOWI OGIEŃ

Było to bardzo, bardzo dawno,
w czasach kiedy Człowiekowi, któ-
rego nazwiska nikt nie zna, udało się
przypadkowo zdobyć ogień i za-
kosztować jego dobrodziejstw.

Dzikie zwierzęta żyjące licznie
wśród puszczy i wielkich łąk patrzyły
podejrzliwie na jasne płomienie,
które płonęły teraz w jaskini za-
mieszkałej przez ludzi.

Bały się ognia.

Drapieżny wilk spotkał się kiedyś
z wiatrem i zaczął go prosić:

— Wicherze potężny, wicherze szu-
miący, co największe brzozy łamiesz,
a dęby wyrywasz z korzeniami, zgaś
człowiekowi ogień!

— Czy ci przeszkadza?

— Tak, moje oczy płoną wśród
nocy, lecz ja na ogień patrzeć nie
mogę, boję się... Odkąd człowiek
zdołał ogień, stał się najpotężniej-
szym wśród nas, i jeśli nie zdołamy
zgasić płomieni, opanuje on całą
krajnę Wielkiej Rzeki, a zwierzęta
służyć mu będą.

— Zrobię to dla ciebie — świsnął
przeciągle wiatr i natarł gwałtownie
na jaskinię, gdzie płonęło ognisko.
Dmuchał gniewnie raz, dmuchał
drugi... Płomienie pochyliły się ni-
sko, przylgnęły niemal do ziemi.

— Już gasną, już giną — cieszył
się wiatr i poleciał, by powiedzieć
o tym wilkowi.

Ale w tej chwili wystrzeliły w gó-
rę płomienie rzucając zuchwale
blask na ciemne ściany jaskini.

Zawrócił rozgniewany na dobre
wiatr, lecz chociaż dmuchał z całej
siły, nie zdołał zgasić ognia.



Uciszył się dopiero późną nocą, gdy w gąszczu leśnym szeptał nieśmiało wilkowi:

— Mocny jest ten ogień, gdyż nie mogłem go zniszczyć. Zmęczyłem się, utrudziłem, a on za każdym podmuchem jeszcze jaśniej płonął. Jestem beziłny i nie mogę spełnić twej prośby.

Poszedł wilk szukać innych sprzymierzeńców.

Spotkał się z deszczem.

— Czy jesteś przyjacielem ognia? — zapytał go ostrożnie.

— Skądże? Nie znoszę go, nie nawidzę i gaszę przy każdej sposobności.

— To dobrze, to bardzo dobrze — ucieszył się wilk.

— Dlaczego?

— Spójrz, udało się człowiekowi przynieść ogień do jaskini, z której wypędził zwierzęta. Siedzi przy nim dumny i spogląda na nas z góry. Jeżeli naprawdę nie cierpisz ognia, zgaś go czym prędzej, a wyzbędzie się człowiek swej przewagi nad nami.

— Zgaszę, zgaszę... — syczał deszcz i z pomocą wiatru zaciął wprost do jaskini.

Ale tylko nieliczne krople wpadały z sykiem w ognisko nie czyniąc mu najmniejszej szkody.

Ogień drwił najwyraźniej z deszczu. Przy nim człowiek samotny czuł się raźniej, bezpieczniej i z radosnym błyskiem oczu patrzył w płomienie. Ogień był dla niego dobrodziejstwem, chronił go przed zimnem i niebezpieczeństwem napadu zwierząt.

— Nie dosięgnę tak głęboko — zdecydował wreszcie deszcz, po



czym razem z wiatrem powędrował dalej.

Wilk ze zwieszonym ogonem włókł się do lasu, gdzie zupełnie niespodziewanie spotkał potężnego niedźwiedzia jaskiniowego.

— Ty jesteś panem puszczy? — zaczął rozmowę.

— Naturalnie, wszyscy o tym wiedzą i dziwią się, że o to mnie pytasz.

— Ale nie wszyscy chcą cię uznać.

— To niesłychane! Któż jest takim zuchwalcem?

— Człowiek. Słaby, mały człowiek. Wypędził twego krewnego z jaskini i sam się tam osiedlił. Rozpalił ogień i dumnie jak król patrzy na dziką puszcę. Jeśli mu nie wydrzemy ognia, on będzie naszym władcą... Czuję wielką potęgę ognia, choć go się lękam. Wiem, że da on człowiekowi siłę, którą świat ujarzmi.

— Nie dopuszczę do tego! — ryknął niedźwiedź. — Zaraz pozna on moje kły i siłę. Naszą jest puszcza.

— Jeśli chcesz go zwalczyć, musisz zgasić ognisko. Ja nie umiem tego dokonać, gdyż lękam się ognia, ale ty...

— Zgaszę, zniszczę — przerwał

mu niedźwiedź ruszając w stronę jaskini.

Wpadł do środka. Obejrzał się szukając człowieka. Nigdzie go jednak nie było, gdyż niedawno wyszedł na łowy.

— Ja tu jestem panem, ja tu rządę i władam, ja, ja, ja... — mruczał zaczynając tratować ognisko.

Rozrzucone kawałki drewna tliły się jeszcze i żarzyły, lecz płomień już zginął. Niedźwiedź ciężarem potężnego ciała i grubych nóg tratował resztki ognia, a kiedy już pociemniało w jaskini wyszedł na zewnątrz, gdzie oczekiwał go wilk.

Zadowoleni odeszli obaj w las.

Na gałęzce wysokiego drzewa rosnącego tuż przy wejściu do jaskini siedział niewielki ptaszek. Nie powiem wam, jak się nazywał, gdyż prawdopodobnie nie miał jeszcze żadnej nazwy.

Wpatrzony w blask ognia śpiewał swoją najpiękniejszą melodię, jaką nucił, gdy słońce złoćilo puszcę swym blaskiem... Kiedy potężne cielsko niedźwiedzia jaskiniowego przysłoniło mu jasność, urwał melodię i patrzył z przestrachem, jak ogień gnieciony przez napastnika szybko zamierał.

Zrobiło mu się żal ognia i człowieka.

Zaledwie więc ucichło stapanie niedźwiedzia, ptak frunął na miejsce, gdzie niedawno płonęło ognisko. Drobne kawałki rozdeptanego drzewa tliły się jeszcze blado. Było ich coraz mniej, gasły jak gwiazdy w czasie świtu.

— Spróbuję uratować ogień...

Zbliżył się do jakiegoś kawałka drewna i zaczął dmuchać z całych sił.

Niewielka plama ognia powiększyła się nieco.

Dmuchał dalej...

Drobne iskierki lekkim trzaskiem oznajmiały, że ogień wraca do życia.

To dodawało sił ptaszkowi...

Nagle, zupełnie niespodziewanie, suche drzewo buchnęło jasnym płomieniem. Nie był on duży ani gwałtowny, ale stało się to tak szybko, że ptak nie zdołał odskoczyć i zapaliły mu się piórka na piersi.

Pisnął z bólu, załopotał rozpaczliwie skrzydełkami i przypadłszy mocno do ziemi zdusił ogień.

Obok płonęło suche drzewo...

— Ogień żyje, ogień żyje — śpiewał teraz ptak zapominając o własnym nieszczęściu.

Kiedy człowiek wrócił z polowania, zabrał się szybko do ratowania ognia. Znosił suche drzewo, dmuchał, aż jaskinia ożywiła się znowu jasnym blaskiem.

A na drzewie mały ptak zaczął śpiewać swoją najpiękniejszą melodię.

Nie smuciły go opalone pióra, które przybrały teraz kolor czerwony. Podobno potomstwo tego ptaka



miało od tego czasu na piersiach czerwone piórka. Może to był gil, a może jakiś inny, nieznany nam dzisiaj ptak z czerwonymi piórkami na piersiach.

Kiedy czytasz tę bajkę przy świetle elektrycznym w ciepłym pokoju, może uśmiechasz się z tej troskliwości o ogień. Ale dla człowieka pierwotnego, żyjącego tysiące lat te-

mu (to już nie bajka), który nie umiał rozpalać ognia — ciepły płomień był objawieniem.

Dlatego strzegł go jak świętości. A ogień pomagał człowiekowi zdobywać świat i ujarzmić przyrodę, pomagał mu doskonalić warunki życia, otwierał przed nim lepszy świat, w którym teraz żyjemy.

St. Naskela

ZNISZCZONA KSIĄŻKA

— Proszę pana — mówi Staszek do nauczyciela — Mundeł ma strasznie zniszczoną książkę; ani jednej

kartki nie ma.

— A okładki są?

— Też nie ma.

GŁUPI JASIO

Żył sobie na świecie głupi Jasio. Chłopak piękny jak malowanie, ale wszystko, do czego się zabrał, robił w jakiś niezwykle, komiczny sposób — jednym słowem nie tak, jak wszyscy ludzie.

Zgodził się na parobka do pewnego gospodarza.

Jadą gospodarze do miasta na targ, a gospodyni powiada do Jasia:

— Zostań w domu, uważaj na dzieci, nie spuszczaaj ich z oka i nakarm je.

— A czym? — pyta Jasio.

— Weźmiesz wodę, mąkę, ziemniaki, pokroisz — będzie zupa.

Gospodarz nakazuje:

— Pilnuj drzwi, żeby dzieci do lasu nie uciekły!

Gospodarze odjechali.

Jasio wlażł na piec, gdzie spały

dzieci, przebudził je, ściągnął na podłogę, stanął z tyłu za dziećmi i powiada:

— No, więc już uważam na was.

Dzieci posiedziały przez pewien czas spokojnie na podłodze, a potem zaczęły wołać jeść.

Jasio wtoczył do chałupy wielką kadź z wodą, wsypał do niej pół worka mąki, ćwiartkę ziemniaków, zamieszał nosidłem i rozmyśla głośno:

— Kogo tu jeszcze pokroić?

Usłyszały to dzieci i przeraziły się.

— O jej, jeszcze nas pokroi! — I uciekły z izby.

Jasio popatrzył za nimi, poskrobał się w głowę i medytuje:

— Co zrobić? Jak mam teraz na nie uważać? I drzwi jeszcze muszę pilnować, żeby nie uciekły! — Zajrzał do kadzi i powiada:



— Gotuj się, polewko, a ja pójdę za dziećmi, muszę na nie uważać!

Zdjął drzwi z zawiasów, zarzucił je sobie na plecy i pomaszerował do lasu. Nagle stanął oko w oko z niedźwiedziem. Zdziwił się niedźwiedź i ryczy:

— Hej, a po cóż ty do lasu drewno ciagniesz?

Opowiedział Jasio niedźwiedziowi o swoich zmartwieniach. Niedźwiedź



przysiadł na tylne łapy i śmieje się na całe gardło:

— Ach, ty głuptasie! Muszę cię za to zjeść!

A Jasio powiada:

— Zjedz lepiej dzieci, żeby na drugi raz wiedziały, jak należy ojca, matki słuchać i do lasu nie uciekały!

Niedźwiedź pokłada się ze śmiechu.

— Och, och, jak żyję takiego głuptasa nie widziałem! Chodź ze mną, muszę cię pokazać mojej żonie.

Prowadzi niedźwiedź Jasia do swego legowiska. Idzie Jasio, a drzwiami sosny obija.

— Rzuć te drzwi — powiada niedźwiedź.

— O, nie, ja swojego słowa nie zmieniam: obiecałem pilnować, więc dopilnuję.

Przyszli do legowiska.

Powłada niedźwiedź do żony:

— Spójrz, Maszo, jakiego głuptasa ci sprowadziłem! Śmiech po prostu!

A Jasio pyta niedźwiedzicę:

— Cioteczko, czy nie widziałas dzieci?

— Moje są w domu. Śpią.

— Pokaż je, czy to nie są czasem moje?

Niedźwiedzica pokazała Jasiowi troje niedźwiadek. Obejrzał Jasio i mówi:

— Nie, to nie są moje! Ja miałem dwoje.

Niedźwiedzica widzi, że chłopak naprawdę jest głupi, i też się śmieje:

— Przecież twoje dzieci są ludzkie!

— No, tak, ale widzisz, takie małeństwa, trudno odróżnić, czyje one są.

Co za śmieszny chłopak, myśli niedźwiedzica i powiada do męża:

— Słuchaj, Miś, nie zjedzmy go, ale niech nam służy.

— Jak sobie życzysz, kochanie; chociaż to człowiek, ale taki jakiś pocziwina.

Niedźwiedzica dała Jasiowi kobiałkę i powiada:

— Idź do lasu i nazbieraj malin; jak maleństwa się obudzą, to dostaną coś smacznego.

— Dobra! To mogę! Ale wy mi tu drzwi przypilnujcie.

Poszedł Jasio do zarośli malinowych, napelnił malinami kobiałkę po brzegi, sam się do syta najadł, wraca do niedźwiedzi.

Przyszedł do legowiska i woła:

— Są maliny!

Przyturlały się niedźwiadki do kobiałki, pomrukują, popychają się, jedno drugie przewraca i zajądają — ogromnie ucieszone.

Patrzy na nie Jasio i wzdycha:

— Ach, jaka szkoda, że nie jestem niedźwiedziem! Miałbym też dziecil

Niedźwiedź z żoną pokładają się ze śmiechu.

— Och, och, trzymajcie mnie, bo nie wytrzymam! — ryczy niedźwiedź. — Pęknać można przy nim ze śmiechu!

— Proszę was — powiada Jasio — pilnujcie mi drzwi, a ja pójdę dzieci szukać, bo jak gospodarz wróci, to dostanę za swoje.

Niedźwiedzica mówi do męża:

— Pomógłbyś mu, Misiu!

— A tak, trzeba mu koniecznie pomóc — ogromnie zabawny!

Niedźwiedź z Jasiem poszli leśnymi drózkami, idą i po przyjacielsku gawędzą:



— A tyś mądry?

— Ja?

— Tak, ty!

— Nie wiem.

— Ja też nie wiem. A czyś ty zły?

— Nie. Bo co?

— Bo tak sobie myślę, że kto jest zły, ten jest głupi.

— Widzisz, ja też nie jestem zły. No, więc chyba obaj nie jesteśmy głupi.





— Patrzcie, jak to sobie mądrze wykombinował — dziwi się niedźwiedź.

Wtem patrzą: pod krzakiem śpi dwoje dzieci.

Niedźwiedź pyta:

— To chyba twoje, co?

— Nie wiem — powiada Jasio — trzeba je spytać. Moje chciały jeść.



Przebudzili dzieci i pytają:

— Chcecie jeść?

Dzieci wołają:

— Jeszcze jak! Od dawna już chcemy!

— No, to są moje dzieci! Zaprowadzę je na wieś a ty, wujku, przynieś mi z łaski swojej drzwi, bo mi się ogromnie śpieszy; muszę jeszcze zupę ugotować.

— Zgoda — powiada niedźwiedź — przyniosę.

Idzie Jasio za dziećmi, patrzy za nimi, jak mu kazano.

Przyszedł do chaty, a gospodarze już są i widzą: po środku izby stoi kadź pełna wody, mąki i ziemniaków, dzieci nie ma, drzwi też się gdzieś podziały; siedli na ławce i gorzko płaczą.

— Czego płaczecie? — pyta Jasio.

Zobaczyli gospodarze dzieci, ucieczyli się, ściskają je i pytają Jasia pokazując na kadź:

— Coś ty tu narobił?

— A zupę!

— A czy tak się to robi?

— A czy ja wiem, jak?

— A gdzie się drzwi podziały?

— Zaraz je przyniosę. O, już są!

Wyrzeli gospodarze oknem, a ulicą maszeruje niedźwiedź, drzwi niesie na grzbiecie, ludzie uciekają w popłochu na wszystkie strony, włączają na dachy, na drzewa. Psy się przelekły, ze strachu utknęły w płotach pod wrotami, tylko jedna odważna ruda kura stoi na środku ulicy i wojowniczo krzyczy na niedźwiedzia:

— Choodź, choodź, to ci dam!

— Choodź, choodź, to ci dam!

M. Gorki

Tłum. Maria Górska

RYBY

Leszcz za wąsy suma szarpie.
— A to śmiałość! — rzekły karpie.

— Karpie dobre są, lecz w sosie —
Odezwały się lososie.

— Głupie żarty — rzekła flądra.
— Patrzcie, flądra jaka mądra,

Skąd to flądry rozum taki? —
Obruszyły się szczupaki.

— Cóż za dziwne obyczaje,
Że okoniem szczupak staje? —

Mruknął sandacz. Więc sandacza
Zbeształ okoń: — Pan uwłaszcza

Mnie i całej mej rodzinie.
Niech pan od nas precz odpłynie.

Rzekły śledzie: — Ryby rzeczne
Są zazwyczaj niedorzeczne.

— Każda woda im za słodka —
Przygadyła śledziom plotka.

Karaś milczał. Tylko kilka
Jeszcze słów rzuciła kilka,

A sardynki z tej rozmowy
Potraciły całkiem głowy.

Jan Brzechwa



PRZYGODY DZIECI Z JASNEJ WODY

19)

(Ciąg dalszy)



ŚWIĘTO MATKI

Wygon nad rzeką, ten sam, na którym powódź zostawiła rybki w zalewisku, zaroił się całym mrowiem namiotów i zakwitł barwnymi chorągiewkami.

Co rano raźna pobudka budziła wieś do pracy, a w całej Jasnej Wodzie zawrzało nowe życie.

Nie tylko nad rzeką rósł wał, prawdziwy szaniec przeciwko powodzi, ale cuda jakieś od pierwszego dnia zaczęły się dziać w całej wsi.

Babcia Matuska, po powrocie z wyprawy ciężarówką, zastała swój len ślicznie opielony przez bezimienne ręce.

Te same niewiadome ręce rąbały drewna i układały w zgrabny stosik przed drzwiami Karczmarkowej. Kiedy jej męża wywieziono już do zakładu, ktoś naprawił jej rozwalony płot przed domem, ktoś narządził korbę przy studni... A wał nad rzeką wydłużał się i przyciągał coraz więcej ochotników spośród miejscowych ludzi.

Pierwsi stanęli do pracy Ryś, Heniek i Władek.

Pod rytmiczny marsz chłopców brzmiała na całą Jasną Wodę pieśń: Ujmiemy rzekę w mocny wał, niech chroni od powodzi! Piękna Ojczyznę los nam dał, my dla Niej — bracia młodzi!

Nam wszystko jedno: miasto, wieś, budowle, rzeki, rowy!

Natęż mięśnie, kilof wzniesi,
tyś żołnierz o d b u d o w y!

Wesoło i jakoś młodzieńczo potoczyło się życie z chłopcami w Jasnej Wodzie, bo i maj zakwitł bzem, jaśminem i rozśpiewał się słowikami.

Zbliżało się Święto Matki. W szkole robiono po cichu przygotowania, żeby to święto jak najuroczyściej wypadło. Zarówno dziewczynki, jak i chłopcy przygotowywali swoim mamom niespodzianki. Dziś sama pani ma robić przegląd tego, co kto przygotował.

— Ja zrobiłam dla mojej mamy jedwabną poduszkę — mówiła z prze-

chwałką napuszczona Genia. — Ciotka mi tylko trochę pomogła...

— A ja obrębiłam, przyszyłam wieszadelka i wyznaczyłam trzy ręczniki — powiedziała Zosia, sąsiadka Agnieszki.

— A ty, Jagusiu, co zrobiłaś?

— Ja wyszyłam serwetkę na stół.

— Co, ty wyszyłaś serwetkę?! Dla kogo? Przecież to jest Święto Matki, a ty jesteś sierotą!... — wzruszyła ramionami Genia.

Jagusi krew uderzyła do policzków. Co zrobić, żeby się nie rozplakać?... Agnieszka prędko zaczyna zbierać książki i pakować do teczek.

— To co, że nie ma mamusi, ale ma ciocię! — zaperzyła się Zosia.

— Jaką ciocię?

— Młynarzową.

— To jest jej c i o c i a? — pyta zjadliwie Genia i świdruje Zosię małymi, przebiegłymi oczkami.

Tę przykrą rozmowę przerwało wejście nauczycielki.

Pani po krótkim wyjaśnieniu, jak się ma odbyć uroczystość, przeszła po klasie od ławki do ławki i oglądała przygotowane niespodzianki chwając obmyślane i starannie wykonane, a ganiąc ostro — przygotowane „aby zbyć“.

— Czy uważasz, że twoja mama nie zasłużyła na staranniejsze wykonanie drabinki do kwiatka? — mówiła z wyrzutem do Jurka, sławnego niedbalucha.

— A ty, Jagusiu, co przygotowałaś?

Jagusia wyjęła z bibułki płócienną serwetkę, otoczoną szydełkową koroneczką i pokrytą drobnutko wyszytymi niezapominajkami. Ser-

wetka ślicznie wyprana i wyprasowana wyglądała świeżo i wesoło.

— No, pani Ludwika chyba się ucieszy z tej serwetki! — zawołała pani nauczycielka i aż klasnęła w ręce.

— A kiedy to nie jest jej prawdziwa mama — burknęła swoje Genia, naburmuszona, że jej zielona poduszka z wyszytą przez ciotkę papugą nie wzbudziła u pani zachwyty.

— Mylisz się, Geniu. Rodzona matka czy przybrana — to wszystko jedno, zwłaszcza jeżeli jest tak dobra, jak ta Jagusi — powiedziała pani poważnie.

W sam dzień Święta Matki Jagusia, tak jak sobie uplanowała, wstała o świcie, kiedy młynarzowa jeszcze spała. Pod kołdrą w swoim łóżku ułożyła z pledu i jaśka kukłę i uśmiechnęła się do siebie rada:

— Śpij sobie, Jagusiu, śpij!... Biedna ciocia nie będzie mogła się ciebie dobudzić!

A potem ubrała się prędko, na głowie zawiązała swoją ulubioną chusteczkę w chabry, dar cioci ze słynnego jarmarku w Kogucinie, wzięła do ręki koszyczek i cichutko jak myszka wymknęła się z domu.

Obejrzała się za Ciapkiem, nieodłącznym towarzyszem wszystkich swoich wypraw, ale Ciapek, zamknięty we młynie, spał jeszcze pewno po nocy przewożowanej ze szczurami, którym nawet powódź niewiele krzywdy przyniosła i on nadal był ich jedynym pogromcą.

— A no, trudno, pójdę sama, niech sobie śpi. Jak się obudzi, to sam mnie znajdzie! — pomyślała Jagusia i witana przez Zbrysia przy-

jacielskim kiwaniem ogona skierowała się w stronę grobli.

Słońce rozpaloną do czerwoności tarczą wstępowało na rozgorzałe niebo płosząc różowym blaskiem poranne mgły znad łąk i nalewając świetlistym migotem tęczy miliony perelek rosy na trawach.

Było rzeźwo, srebrzyście, perliście i tak jakoś porannie młodo. Wtem od obozu junaków zabrzmiała rześka jak ten majowy ranek pobudka, a jasnowodzińskie koguty, dotknięte widocznie, że kto inny ośmiela się na „ich śmieciach“ witać wstający dzień, zrywały sobie gardła doniosłym, jak surmy bojowe, paniem.



Każdy piejak zza swojego płotu, jak z szanca, ogłaszał przeciągle, pełną piersią chwałę wstającego dnia, żeby przekrzyczeć junacką pobudkę.

Jagusia szła wśród tych rannych hejnałów pełna jakiejś rozpierającej radości. Wczorajsza przykrość doznana od Geni rozwiała się właśnie jak te mgły znad łąki przed słońcem. Agnieszka czuła, że młynarzowa jest dla niej najbliższym człowiekiem na świecie, wbrew wszystkiemu, co by o tym mówiły dokuczliwe i niedobre plotkarki.

— Umaję cały dom niezapominajkami — rozmyślała idąc. — Cio-cia mówiła, że najwięcej ze wszystkich kwiatów lubi niezapominajki... Niezapominajki długo się trzymają po zerwaniu, tylko je włożyć w mokry piasek i kamieniem na talerzu przycisnąć...

— Przyniosę z tego miejsca za trzecim mnichem pełen koszyk niezapominajek, bo tam ich najwięcej, i jeszcze zdążę na czas do szkoły!

Minęła młyn, dom bednarza i nie spostrzeżona przez nikogo wstąpiła na groblę. Tutaj musiała zdjąć trepki, bo rosa zalewała jej nogi, i dalej szła boso zostawiając po sobie — wśród srebrzyście obroszonej trawy — zieloną drózkę...

Spod jej nóg chlustały do wody szalonymi skokami spłoszone żaby, na niedalekiej łące brodził ich łowca, pełen godności i powagi bocian, powietrze pruły ciemnymi strzałkami jaskółki, a czajki ostrzegały miaukliwie, że się zbliża „wróg“, krążąc natarczywie na wyokrągłych skrzydłach tuż nad głową małego, zbliżającego się człowieka. Po-

tem odlatywały zygzakami z przenikliwym kwileniem ku swoim gniazdom na łąkach, żeby po chwili

wrócić atakując jeszcze napastliwiej i bardziej krzykliwie.

(dokończenie nastąpi)

M. Kownacka

SŁOWIK ROZBÓJNIK

— Mamusiu — mówił Jurek — ten mały Kola, syn Rosjanina, opowiadał mi, że czytał raz o tym, że u nich w lasach mieszkał kiedyś słowik, który był rozbójnikiem. Śpiewał tak pięknie, że zwabiał ludzi tym śpiewem, a wtedy nagle rzucił się na nich i zabijał. Czy to być może, że tak było naprawdę?

— O słowiku-rozbójniku jest bajka ludowa, czytałam ją sama kiedyś. Lud wiejski jest bardzo spostrzegawczy i lubi ubierać swoje spostrzeżenia w formę pięknych bajek, gdzie czasem trudno odróżnić wyświat od prawdy.

— Jak to? Więc to prawda o słowiku?

— I prawda, i nieprawda. Jeden z rosyjskich pisarzy dla dzieci opisuje przygodę myszki Pika z takim właśnie słowikiem - rozbójnikiem. Posłuchaj, jak on to opisuje:

„Pika obudził głośny śpiew, wyrzucił spod korzenia i zobaczył nad sobą ślicznego ptaszka z różową piersią, szarą główką i czerwono-brązowym grzbietem.

Myszce podobał się jego piękny, wesół śpiew. Chciała usłyszeć go z bliska i polazła po gałązce w górę.

Śpiewające ptaki nigdy nie ruszały Pika, więc się ich nie obawiał. A ten śpiewak był niewiele większy od wróbla.

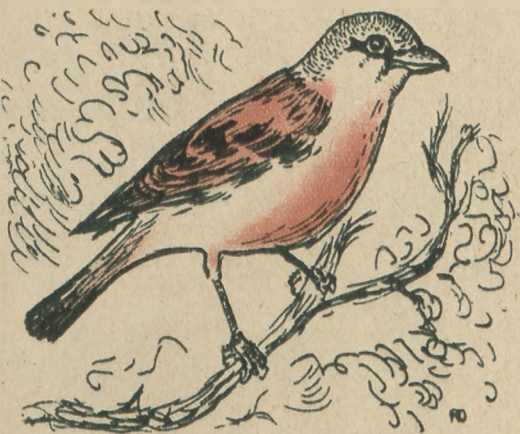
Nie wiedział głupi Pik, że ptak

ten to dzierzba-gąsiorek i pomimo że jest śpiewakiem, jednak zajmuje się rozbojem.

Pik ani się obejrzał, jak gąsiorek rzucił się na niego i kujnął go mocno haczykowatym dziobem po karku.

Od uderzenia Pik jak kula zleciał w dół.

Padł na miękką trawę, więc się wcale nie potłukł.



DZIERZBA-GĄSIOREK

Gąsiorek zleciał za nim, ale Pik nie namyślał się długo i szybko wpadł pod korzenie.

Chytry zbój usiadł na krzaku i czekał, czy czasem Pik nie wyjdzie ze swej kryjówki.

Śpiewał piękne piosenki, ale Pik nie myślał już o piosenkach. Ze swego miejsca widział teraz doskonale krzak, na którym siedział gąsiorek.

Gałęzie tego krzaka miały długie kolce.

Na kółkach, jak na ostrzach dzid, sterczały zatknięte na wpół objedzone pisklęta, jaszczurki, żabki, chrząszcze i koniki polne. Była to powietrzna spiżarnia okrutnego zbója.

Whicie na taki pal groziło Pikowi, gdyby wysunął się spod korzenia.

Cały dzień gąsiorek dozorował Pika, ale gdy słońce zaszło, zbój ułożył się w gęstwinie. Myszka ci-chutko wypełzła spod krzaka i z-emknęła.

— Okropność, mamusiu, co za wstrętny zbój z tego gąsiorka. I dla-

czego nazywają go słowikiem, - to przecie krzywda dla słowika, że jego imieniem zwą takiego wstręciucha.

— W tej nazwie jest trochę słuszności. Gąsiorek ma dar naśladowania śpiewu bardzo wielu ptaków, w tej liczbie widocznie i słowika, choć podobno najlepiej udaje skowronka. I dlatego lud go tak nazywa. U nas gąsiorek jest rzadki, ale takim samym zbójem jest jego bliski krewniak — dzierzba srokosz. Głównie tępi on owady. Może latem spotkasz w lesie jego spiżarnię na krzaku kolącej tarniny.

Helena Jarmolińska

A to ciekawe...

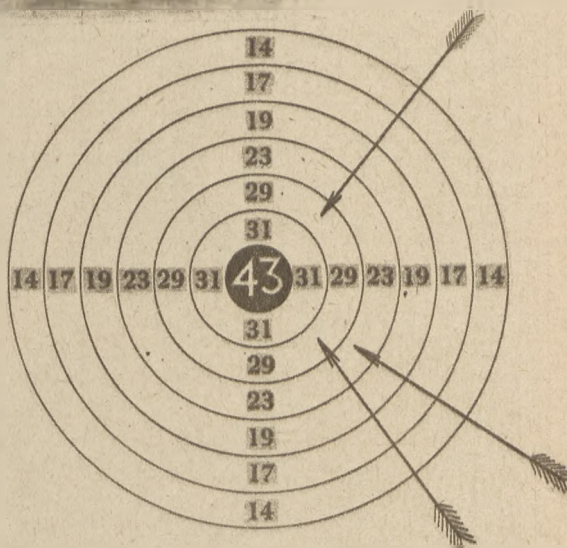


Fot. T. Bukowski

Znana autorka licznych książek dla dzieci Maria Kownacka wśród młodych czytelników. Na stole siedzi bohater jednej z książek *Plastuś*. Ten z „*Plastusiowego pamiętnika*“.

Pomyśl chwilke

Przyjrzyjcie się uważnie zamieszczonej obok tarczy i narysowanym na niej numerom. Wyobraźcie sobie, że strzelacie do tarczy z łuku. W jakie numery należy celować, by trafienia czterech strzałów dały w sumie liczbę 100.



„PŁOMYCZEK” — NAJLEPSZYM PRZYJACIELEM NA WAKACJACH

Jak już wiecie z poprzednich numerów:

„Płomyczek” będzie wychodził także w czasie wakacji.

Nie zapominajcie więc o waszym przyjacielu, który potrafi nie tylko pomagać w nauce, ale jest także wesołym towarzyszem zabaw i dostarczycielem rozrywek.

Prenumerata „Płomyczka” za lipiec i sierpień wynosi 54 zł.

Wpłacać prenumeratę można w każdej agencji pocztowej i u listonoszy.

Nowe numery „Płomyczka” można kupić w każdej księgarni i w każdym kiosku.

W CZASIE WAKACJI — CZYTAJCIE „PŁOMYCZEK”

WARUNKI PRENUMERATY



Cena pojedynczego egzemplarza	zł 15,—
w prenumeracie miesięcznej (2 numery)	zł 27,—
za okres od 1. IV. 49 do 30. VI. 49.	zł 75,—
rocznie	zł 250,—

Szkoły przy prenumeracie zbiorowej otrzymują na każde zaprenumerowane 10 egzemplarzy jeden egzemplarz bezpłatnie.

Prenumeratorzy korzystają ze specjalnych ulg przy zakupie wydawnictw Inst. Wyd. „Nasza Księgarnia”. Należność za prenumeratę wpłacać można na konto w P K O nr. V-522

ADRES ADMINISTRACJI: POZNAŃ, UL. MATEJKI 66.

ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 4.

Redaktor: STANISŁAW ALEKSANDRZAK. Kierownik artystyczny: BOHDAN BOCIANOWSKI

Wydawca: Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”.

Nadesłanych rękopisów redakcja nie zwraca.



Fot. T. Bukowski

Czy wy też tak zręcznie gracie w klasy?